Uczeń Stanisławskiego

University College Cork – National University of Ireland, Cork, fot. Denis LeGourrierec

Florian Smieja

Irlandię odkryłem w kilka lat po zakończeniu drugiej wojny światowej. I, jak to często w życiu się zdarza, był to czysty przypadek.

Wraz z innymi polskimi kombatantami, którzy znaleźli się na

Wyspach Brytyjskich, starałem się uzupełnić swoje wykształcenie. Najpierw udało mi się zapisać na kurs gimnazjalny prowadzący do małej matury.

Nie przyszło mi wcale tak łatwo dostać się na ten kurs, gdyż służąc w Sekcji Badań Przydatności przy ośrodku szkolącym załogi pancernych pojazdów, stałem się, mimo kończących się działań wojennych w Europie, niezbędny. Miałem ładne pismo i odręcznie prowadziłem ewidencję badanych w książce, która przeznaczona była do muzeum. Przełożeni ani myśleli, by pozbyć się pracownika, do którego przywykli. A to, że starszy strzelec miał ambicję kończyć gimnazjum, a równocześnie bronił się przed pójściem na podchorążówkę, to dowódcę nie przejmowało w najmniejszym stopniu. Nic więc dziwnego, że kiedy nadszedł telegram informujący o przyjęciu na kurs, kierownik po prostu pisma nie doręczył. Na szczęście, powiedział mi o tym kolega pracujący na poczcie. Interweniowałem natychmiast u oficera oświatowego, przekonałem go i do Szkocji pojechałem.

W małej miejscowości w dawnej fabryce zakwaterowano ochotników, którzy ukończyli co najmniej dwie klasy gimnazjum przed wojną i w przyspieszonym tempie przygotowywali się do zdawania małej matury.

Tymczasem skończyła się wojna i ze świadectwem ukończenia gimnazjum można się było starać o miejsce w liceum, kiedy

perypatetyczne gimnazjum i liceum im. Juliusza Słowackiego założone w Glasgowie a potem przeniesione do Crieff po kilkuletnim pobycie tam rozpoczynało rok szkolny w Bridge of Allan koło Stirling. Kilkuset byłych polskich żołnierzy, lotników i marynarzy z dodatkiem garstki cywilów zaczęło z ufnością i wielkim zapałem naukę w byłym obozie wojskowym. Korzystając z pomocy znakomitych i entuzjastycznych nauczycieli, próbowaliśmy nadgonić stracony czas. W miarę jak Brytyjczycy likwidowali obozy, by wrócić właścicielom zarekwirowane tereny, trzeba się było przenosić dalej, zazwyczaj na północ. Wylądowaliśmy w końcu w odległym Garelochhead na wzgórzach okalających zatokę, w której stały wielkie okręty Royal Navy. Opuszczone przez marynarzy tzw. beczki śmiechu stały się naszym kolejnym domem.

Tam, w rojnej i dynamicznej społeczności szkolnej doczekałem się egzaminu dojrzałości. Obóz oferował rzadkie na one czasy atrakcje w postaci odczytów, wieczorków literackich, gazetkę obozową a nawet ambitne wystawienie komedii „Dożywocie" Aleksandra Fredry.

Potem ze świadectwem w ręku ruszyliśmy w świat. No, nie zupełnie. Trzeba było rozglądnąć się za jakimś praktycznym zawodem. Kolega pochodzący z mojej wsi był piekarzem i cukiernikiem więc wnet znalazł pracę i wyjechał do Londynu. W liceum próbowałem naprawiać zegarki, ale to była zabawa raczej

niż poważne zajęcie. Zapisałem się więc na kurs dla rybaków dalekomorskich, bo nęciła obiecywana dobra płaca, która rokowała nadzieje na oszczędzenie pieniędzy na studia wyższe. Kursu nie ukończyłem, bo po kilku dniach w obozie w Aberdeen, zostałem powołany do Irlandii.

Dostać się na uniwersytet brytyjski nie było łatwo, gdyż uniwersytetów było niewiele a po zakończeniu działań wojennych garnęły się do nich rzesze Brytyjczyków wracających do cywila z wszystkich teatrów wojny. Ponadto, studia humanistyczne, które były dla mnie najbardziej atrakcyjne, nie były dla cudzoziemców pragnących się osiedlić w Zjednoczonym Królestwie. Praktyczni Brytyjczycy założyli Polish University College przy Uniwersytecie Londyńskim, aby pewną ilość Polaków wykształcić na inżynierów i ewentualnie ekonomistów. Ten kierunek handlowy był jakby najbliższy humanistyce i stanąłem do egzaminu konkursowego. Moja siedemnasta lokata nie wystarczyła jednak, by się zakwalifikować. Okazało się, że byli równiejsi ode mnie, ja byłem młody, mogłem poczekać.

Chodziłem po Londynie szukając innych możliwości studiowania. Funkcjonowało wtedy jakieś polskie biuro, które dysponowało kwestionariuszami ankiet przeprowadzanych wcześniej w różnych szkołach i obozach. Pamiętam, jak stroiliśmy sobie żarty z tego rodzaju badań i na pytania z towarzyszącymi sugerowanymi odpowiedziami wybieraliśmy najbardziej

nieprawdopodobną i śmieszną. Nie mogłem liczyć na poważne szanse w takich instytucjach.

Istniała także polska katolicka organizacja Veritas. Jednym z jej celów było pomaganie ludziom, którzy chcieli studiować humanistykę. W porozumieniu z zainteresowanymi uniwersytetami irlandzkimi kwalifikowali oni kandydatów, którzy uzyskując miejsce w uczelni otrzymywali bez trudu brytyjskie stypendium dla byłych wojskowych. Moje świeże świadectwo z bardzo dobrą oceną z języka łacińskiego sprawiło, że dostałem się na listę studentów obiecawszy, że oprócz łaciny wezmę także grekę. Słowa dotrzymałem.

Trzy lata spędzone w południowej Irlandii w mieście Cork były okresem spokojnych, przyjemnych studiów. Mała uczelnia, prowincjonalne miasto, sąsiedzkie stosunki z przychylną ludnością ` pozwoliły grupie byłych żołnierzy odetchnąć i zyskać dyplomy, które pomogły czy nawet umożliwiły później otrzymanie godziwego zatrudnienia w obranej specjalności.

W odległej i izolowanej przez wojnę Irlandii stanowiliśmy egzotyczną i atrakcyjną grupę. Starsi od zwyczajnych studentów, obieżyświaty z doświadczeniem wojennym wśród zielonej lokalnej młodzieży, cieszyliśmy się zainteresowaniem środowiska i mieszkańców miasta, które okazało nam wiele życzliwości i pomocy. Byliśmy zapraszani do domów i instytucji, kwitła

przyjaźń polsko-irlandzka. W naszym polskim domu gościliśmy chętnie szczerych przyjaciół, wśród których był kapitalny ksiądz Murphy, brat łata, dobry człowiek i nadzwyczajny gawędziarz.

Pamiętam jeden z jego kawałów ilustrujących irlandzką specyfikę. W ciemnej uliczce rabuś zatrzymał mężczyznę. Kiedy ofiara odpięła płaszcz, by sięgnąć po portfel, złodziej zobaczył księżowską koloratkę i zaczął przepraszać, że nie wiedział, kogo zatrzymuje. Ksiądz sięgnął z kolei po cygaro, by je opryszkowi zaofiarować. Ten jednak odmówił przyjęcia tłumacząc, że jest post a on w czasie postu nie pali. Tyle kawał. Ten miły ksiądz słynął z dobrego serca i ludzie chodzili do niego po wszystko. Raz zjawił się mężczyzna prosząc go o buty. Ksiądz tłumaczył się, że jedyne buty, które posiadał były te, które miał na nogach. Przybysz spojrzał na nie i powiedział, że te mogą być.

Niektórzy Irlandczycy zaczęli nawet przyglądać się bliżej językowi polskiemu, kilka osób zaczęło brać lekcje prywatne, aby pokazać, że Polacy nie są im obojętni.

Wśród nich znalazł się młody chłopak o imieniu Terry. Ciekawili go i imponowali mu obcy przybysze i ich osobliwy, szeleszczący język. Potrafił się godzinami przysłuchiwać jego dźwiękowi i nieraz zafascynowany stał albo siedział w pobliżu Polaków rozmawiających z sobą. Często przepędzaliśmy go darząc z żartów przeróżnymi epitetami, których on się w lot nauczył i

powtarzał je ku konsternacji polskich studentek, które się także w Cork pojawiły.

Terry zaopatrzył się w podręcznik do nauki polskiego dla Szkotek napisany przez J.A.Teslara i wyuczył się z niego wielce pomocnego w konwersacji zdania ‘ Ordynans daje pić karemu koniowi pana pułkownika’. Po czasie nabył też słownik Jana Stanisławskiego, drukowany w Wielkiej Brytanii przez Minerva Publishing Co.Ltd. w Londynie w 1940 roku, który stał się dla niego pasjonującą lekturą.

Wtedy mógł zaskakiwać nas raz po raz nowo nauczonymi słowami i zwrotami.

Gościł często w naszej bursie położonej nad kanałem niedaleko uniwersytetu. Lubił polskie dania i uwielbiał kluski. Wtedy prosił kredencerza o podlewę. Po burzliwej nocy pytał nas, czyśmy słyszeli gromobicie . Raz kiedy szukaliśmy korkociągu, by otworzyć butelkę wina, Terry z wiecznie uśmiechniętą miną sięgnął do kieszeni i wręczając go nam oświadczył, jak na dobrego ucznia Stanisławskiego przystało: „Ot grajcarek. Kupiłem go niedawno u lokalnego żelaźnika”. A kiedy indziej tłumaczył spóźnienie tym, że miał pogwarek ze swoja lubownicą, która mu ciągle stroiła firleje, bo zamiast pójść wreszcie z kotką do konowała, wolała odwiedzić swoją kabalarkę.

Z entuzjazmem opowiadał nam o postępach w języku polskim i wiedzy o naszej kulturze i przeszłości. Czytał więc o gwiaździarzu Koperniku, znał książkę angielskiego autora o komponiście Chopinie, słyszał o statyście Mikołajczyku a nawet o gazeciarzu Mieroszewskim. Kiedy któryś z naszych studentów chciał zapalić papierosa, Terry z miejsca oferował swoje siarniczki. Jeżeli przychodził do naszego domu w czasie dnia, pytał czyśmy już zjedli podkurek, czy nie zjawiając się o takiej porze nie robi jakiej pochyby. Chwalił się, że akurat pocztarz przyniósł mu list z kontrefektem przyjaciela, który był w Londynie templariuszem, ale miał wkrótce już swoje studia skończyć i nareszcie zarabiać przyzwoity prowent, bo żmindackie stypendium mu się sprzykrzyło.

Terry miał niewątpliwy talent do języków i został w końcu profesorem romanistyki. Jest nadal przystępny i jego kopystka chętnie was z nim umówi na komeraże.

Terminowanie u Stanisławskiego nie poszło na marne.

Florian Śmieja przed Uniwersytetem w Cork (1947-1950)

——————————

prof. Florian Ludwik Śmieja, specjalność: iberystyka, wyjechał z Polski w1943. Studia: University College Cork, National University of Ireland (Bachelor of Arts 1950); King's College, University of London (Master of Arts 1955, Doctor of Philosophy 1962). University of London: School of Slavonic and East European Studies 1950-54 (asystent), School of Economics 1958-63 (asystent 1958-60, doc. 1960-63); University of Nottingham 1963-69 (doc.); University of Western Ontario w London, Kanada 1969- (gościnny prof. nadzwyczajny 1969-70, wielokrotny kier. Zakładu Iberystyki 1970-91, prof. 1970-91, Professor Emeritus 1991); prof. gościnny na Uniwersytecie Jagiellońskim 1974, Wrocławskim, Opolskim, Ostrawskim i Wileńskim 1991- . Publikacje: edycje 3 sztuk hiszpańskiego Złotego Wieku; kilkadziesiąt artykułów naukowych m.in. w: „Slavonic Review", „Queens Slavic Papers", „Modern Language Review", „Philological Quarterly", „Bulletin of Hispanic Studies", „Revista de Literatura", „Hispanófila", „Hispanic Review", „Estudios Segovianos", „Archivo Hispalense", „Estudios", „Revista Canadiense de Estudios Hispánicos", „Kwartalnik Neofilologiczny", „Pamiętnik Literacki". Tomiki poezji: *Czuwanie u drzwi* 1953, *Powikłane ścieżki* 1964, *Kopa wierszy* 1981,

Wiersze 1982, *Jeszcze wiersze* 1984, *Przezorność czasu* 1992, Ziemie utracone 1994, *Mały wybór wierszy* 1994, *Wśród swoich* 1998, *Wiersze wybrane* 1998, *Niepamiętanie* 1999; wiersze w antologiach i opracowaniach. Przekłady poezji, prozy i sztuk hiszpańskich.

Jan Stanisławski (1893 – 1973), anglista, leksykograf; 1928-39 i 1945-58, lektor języka angielskiego na Uniwersytecie Jagielońskim. W 1939 roku wywieziony do Sachsenhausen-Oranienburga. Po powrocie do Krakowa brał udział w tajnym nauczaniu uniwersyteckim. Wydał podręczniki, m.in. Gramatyka języka angielskiego (t. 1-2 1950-51), Wielki Słownik Angielsko-Polski i Polsko-Angielski, wydany w Londynie w 1940 roku (przyp. red. na podstawie Encyklopedii Powszechnej PWN).

Artykuł opublikowany w „Liście oceanicznym", dodatku kulturalnym „Gazety" w Toronto, styczeń 2003 r.

O dwóch książkach Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm

Aleksanda Ziółkowska-Boehm w swoim domu w Wilmington, w stanie Delaware.

> Korespondencja Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm z Szymonem Kobylińskim na temat autobiograficznej książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm pt.”Ulica Żółwiego Strumienia” zawarta w książce „Nie minęło nic prócz lat”.

Wieś Gniazdowo, 17 maja 1995 r.

Oleńko Boehmiła!

No i otóż to właśnie! Nareszcie książka [ULICA ŻÓŁWIEGO STRUMIENIA] prawdziwie oleńkocentryczna, gdzie mamy co prawda, jak Pan Bóg przykazał, realiów światowych mrowie, ale oglądamy je nie w spisie, dokonanym przez jakąś bliżej nie rozpoznawalną panią, ale w opowieściach konkretnej Oleńki, tej ze wzmiankowanego miasta Łodzi.

Inna sprawa, że jest to w istocie książka bardziej t o m k o c e n t r y c z n a, bo zaprawdę Kwiczoł jest tu, jakże słusznie, najpozytywniejszym bohaterem, odnośnikiem wszelkich wartości, miernikiem zdarzeń, trafnie dobranym ośrodkiem uczuciowym i emocjonalnym. Tak – by the way – czemu nie ma informacji, że był Kwiczołem, nie rozumiem, skoro to rubaszna, jakby dobrotliwym basem mówiona pieszczota słowna, świetnie ukazywała sytuacje w panamelchiorowym domu. I chyba dobranie epitetu też coś mówiło, skoro wszelkie drozdy, w tym

paszkoty, kwiczoły etc. – są ptaszkami ogromnie rozrywkowymi, wesolutkimi, pełnymi uroku, żwawości i wdzięku. Potraktowane zaś myśliwsko, co mi jest osobiście jak najbardziej obce, są też wyjątkowo smaczne… Co stwierdzam ze smutkiem nad takim losem ptasząt, ale obiektywności gwoli.

Tomek się jawi przede wszystkim d o b r y, a to komplement najszczytowszy z możliwych, zwłaszcza dziś, a ponadto od małego mądry życiowo i sercowo. Jego zgorszenie, iż babcia mogła posądzać o coś tak błahego, jak zachwycenie dziewczęcym fartuszkiem, gdy w istocie zafascynowały malca OCZY koleżanki, ta migaweczka nad wyraz wymowna. I fakt, że to powiedział, korygując przodkinię…

Zarazem jego losy, rozpostarte po mnóstwie krain i szkół, jednak zaliczanych „w cuglach", są świetnym leitmotivem całej narracji. Coś rośnie i dojrzewa z tym chłopakiem, coś się spełnia i czyni coraz bogatszym duchowo.

W ogóle okazuje się, że jesteś wyraźnie i magnesem, i katalizatorem ludzkiej dobroci. Postać Mister Normana to kolejny przykład tych zdolności przyciągania osób spolegliwych życiowo, których tak wiele widnieje w spisie Twoich przyjaciół. To „lubię przyjaciół", arcy mądre i uniwersalne motto międzyludzkich, pozytywnych związków, doskonale rzecz oddaje. A przy okazji pochlebia nam, których liczysz do grona ludzi,

obdarzony przez Ciebie życzliwością.

Okazało się w tej mierze, iż i sam wielki Tatarkiewicz, największy przecież ekspert od szczęścia, miał to samo o Tobie zdanie, jakie ja swego czasu wyłożyłem Kąkolewskiemu, gdy dumał głośno o Twojej pozycji w dziele Wańkowicza. Wręcz namawiałem p. Krzysztofa, by to opisywał, gdyż relacja o niuansach więzi między najrozmaitszymi bliźnimi jest jego stałym tematem. I nic jeszcze o poglądzie Tatarkiewicza nie wiedząc (bom to poznał dopiero teraz z ULICY ŻÓŁWIEGO STRUMIENIA) instygowałem człeka do ukazania portretu mistrza Melchiora, jako Duszy Niespodzianej, zaskoczonej czemś, czego nie praktykował, czego emocjonalnie nie znał – przyłapanego na kapitulacji przed Dobrocią… To mu się nie zdarzało przez całe długie, twardą skorupą opancerzone życie bezlitosnego obserwatora. Umiał wzruszać jak mało który pisarz, ale sam nie wzruszał się nigdy, nie ulegał tej, jakby to określić – tej s ł a b o ś c i. Taki był zresztą wymóg jego precyzyjnie obmyślanego warsztatu, zimnego skalpela i chłodnego, lodowatego szkiełka badacza. Ignorował – niczym tę starszą panią, co chciała mu przypomnieć, że była dziewczęciem z Kalużyc – wszystko zbędne w fiszkach, notatkach. w tworzywie wszelakich „karafek LaFontaine´a” I oto nagle, tuż przed odejściem, tuż przed definitywnym a d i e u – trafia go, trafia mu się niespodzianka … uczuć? Nie, to nie celne określenie. Raczej: – odczuć. Nowego typu wrażliwości, nowej relacji w bezinteresownej sferze,

dotychczas mu obcej, w sferze Dobroci właśnie. On nie wiedział, co z tym zrobić, jak to przeżywać, „czym to się je", gdy się samemu ulega napływowi serdeczności, jakże dalekiej wprzódzi, jak bardzo przezeń nie używanej! Kąkolewski słuchał tego wszystkiego skulony i zaskoczony, a potem wybąkał coś w rodzaju: „Nie podejmuję się… Nie wezmę tego…" – ale nie przeczył mi wcale. Przeciwnie, zdał się zaskoczony oczywistością tego właśnie, co Tatarkiewicz – jak się okazuje – już dawno ujrzał okiem wszechwiedzy.

Twoja książka i ukazuje, i podkreśla tę bezinteresowność działań w dobroci, Tomkiem ukoronowanej. I zjawienie się teraz obok Ciebie człowieka, który na tle rozmaitych znajomków literackich, środowiskowych, naukowych etc., zda się jakby przyciszony – jednakże jest żywym wcieleniem spolegliwości i czułości, to zjawienie się (bardzo czytelne w narracji) jest walnym i ważkim morałem z lektury. Całkowite pominięcie dyrektora samochodowego także należy do kompozycji, do chwytów warsztatowych – lecz chwytów dyktowanych nie tamtą zmarzliną pióra, ale samym życiem – i biograficzna luka w miejscu (regularnego przecież i wyraźnego) męża „po drodze", jest luką literacko znaczącą. Tak odrzuca się któryś kolor, malując w skupieniu obraz tym Twej intuicji, a ile zamiaru, nie wiem do końca; – mówię o efekcie czytelniczym. Inna sprawa, że czytelnik nie znający ściśle realiów Twego curriculum vitae, bodaj w takim stopniu ścisłości, jak my, czytelnik taki nie będzie wiedział, iż

coś, czy raczej kogoś tu pominięto. Nie szkodzi, wystarczy, że otrzymuje zamkniętą, konsekwentną całość, niejako oprawę tego klejnociku, jakim jest Tomek… A z czego ta oprawa zrobiona? Jakie ingrediencje stopu są, a z jakich zrezygnowano, to mniej ważne. Znając dokumentację Wańkowicza od podszewki wiesz, ile elementów, pozornie znaczących, odrzucał, skreślał i ignorował. Znów – jak tamto spotkanie znajomej z lat chłopięctwa. Zbędna była do bieżącej roboty i już.

Tak przepadł zatem i dyrektor z FSO.

No, nachwaliłem się Ciebie potężnie, teraz czas na głos starego zrzędy, bezzerwissera i wtykacza trzech groszy. Czerwonym zasię ołóweczkiem przyszpiliłem dziewięć punktów, które mi nie pasują do całości książki. Wpierw jednak zaznaczę, jak to czynię w podobnych okazjach, że tekstów mi obojętnych się nie czepiam, „wiszą mi zwiędłym kalafiorem" i nic autorom nie mówię. Tylko wobec obiektów mej życzliwości pozwalam sobie powybrzydzać i nosem pokręcić. Tak i teraz.

str. 60. – Przed domem rosła rozłożysta, ogromna b r z o z a. Skoro zaś brzoza, to skąd na niej bazie, i to w dodatku na Zielone świątki?!? Bazie ma wierzba, ale na Zielone świątki daaawno już są nie aktualne! Co to więc było za drzewo?

str. 102 – To wcale nie Skaldowie śpiewali „Za rok matura";

rzecz nie jest absolutnie w ich stylu. To chyba któreś Gitary, Czerwone lub Niebieskie, ale przenigdy Skaldowie.

str. 177. – Literówka, istotna nazwiskowo – zamiast Kozieł powinno być na skolko ja znaju miedicinu, Koziełł-Poklewski, dwa łł.

str. 246. – Zjawiają się młodzi Krzysio z Anią ,,...przedstawiłam im profesora (Tatarkiewicza)': Shocking! Wyłącznie i c h można było przedstawić p r o f e s o r o w i, nigdy odwrotnie.

Nieco niżej zabawne określenie, tyczące Słonimskiego. Czytam mianowicie, iż „wiele osób ceniło jego felietony:.. Ba! Człowiek, który wpłynął na obraz epoki intelektualnej, m.in. właśnie tymi arcyważkimi „Kronikami" w „Wiadomościach Literackich" – skwitowany tu uwagą. że „wiele osób ceniło: To tak, jakby o Wańkowiczu powiedzieć, że: Byli tacy, którzy go czytywali z aprobatą. Albo o Tuwimie, iż niektórzy lubili jego wiersze... To wszystko filary kultury!

str. 258. – O ile mnie pamięć nie myli, kawiarnio-cukiernia w telewizji, to był „Kaprys prezesa" (wydał na to nieproporcjonalny majątek państwowy) a nie „Piekiełko: „Piekiełkiem" zwano różne inne lokaliki, z reguły w suterenach, i to poza gmachem przy Woronicza.

str. 398. Szofer nowojorski powiada: „Ja wiozę ludzi tylko po Manhattanie": Nędzny język angielski nie posiada odmian czasowników częstotliwych: po naszemu rzekłby w tej sytuacji: „Ja wożę ..:: Przecież „wiozę", to tylko jeden raz.

str. 440. Podobne poślizgnięcie. Ichnie married znaczy zarówno „ożeniony", jak „żonaty" „Mam zawsze zapewnioną randkę z piękną kobietą..." – i będzie to dobrym, dobrze podanym dowcipem.

Więcej (Twoich) grzechów nie pamiętam. Oby każdy literat miewał tylko dziewięć drobnych potknięć na 472 strony druku!

Oprócz nich winienem zaznaczyć, że jestem Ci nader wdzięczny, iż mnie – i to z życzliwością – wymieniasz & cytujesz. Rzadko mi się zdarza podobna satysfakcja, bo owszem, przytaczają nieraz, com opublikował lub rzekł, ale anonimowo lub zgoła jako własną wypowiedź przytaczającego... Pewien uczony historyk wręcz podał moją teorię a propos Matejki, jedyną w danym tonie i treści – ale ani się zająknął, że to nie jego. Miglanc KTT przypomniał po wielu latach pewną dyskusję prasową, gdzie starliśmy się ostro – i obwieścił, że głosił wtedy... – moje zdanie, acz je zwalczał gwałtownie. Dobrze, że nie napisał, iż ja głosiłem jego poglądy! W ogóle zresztą mnie nie wspomniał.

(...)

A tymczasem pozdrowienia serdeczne dla Ciebie i Twych Miłych Panów od obojga i niżej podpisanego:

Szymon

***

Szymon Kobyliński

Wilmington, Delaware, 26 maja 1995

Drogi i Kochany Szymonie!

(…)

Chcę Ci powiedzieć, ze niezrealizowanie wizyty u Was bardzo nam popsuło przyjemność wspólnego pobytu w Polsce – bo mieliśmy plany takie wiosenno – turystyczno – przyjemnościowe na ten wspólny tydzień w Warszawie (jak wiesz, zanim Norman przyleciał, ja pracowicie jeździłam po Polsce ze spotkaniami

autorskimi w związku z książką).

No właśnie – książka. Twój list czytałam chciwie, zatrzymując samochód na zboczu (pocztę odebrałam po drodze gdzieś wyjeżdżając). Jesteś wspaniały i kochany przyjaciel, żeś napisał aż tyle na temat mojej książki….. Ja tak bardzo chciałabym o niej rozmawiać, słuchać itd. Tymczasem większość osób w czasie mojego pobytu jeszcze jej nie znała. A czy napiszą w liście o niej? … Zobaczymy, nie wszyscy mają tak dobre „maniery”, a na pewno nie będzie im się chciało omawiać jej. Napiszą o swoich własnych różnych sprawach i swoich zajęciach.

Dziękuję za wyłapanie błędów i wykroczeń, kilka już sama spostrzegłam, ale większość jest nowych i tylko Twoje uważne oko i ucho je wyłapało. Masz wielką rację, np. z przedstawieniem profesorowi (a nie jego). Chodziło o Krzysztofa i Joannę Kąkolewskich (nie o brata Krzysia i Anię), ale i to ich się przedstawia wielkiemu profesorowi, a nie odwrotnie. Za to złapanie błędu jestem Ci szczególnie wdzięczna. W sprawie drzewa zatelefonowałam do Mamy: była to brzoza, a bazie były na innym. Ha, tak to się ma ze wspomnieniami! A w ogóle nie zrobiłam korekty autorskiej i jest to cena, którą płacę za odległość. Moja redaktorka grzecznie dopilnowała, by maszynopis był przepisany; nie zwracając uwagi na wiele ważnych, mniej lub bardziej i subtelniejszych wykroczeń. Osobiście naliczyłam już blisko 30 błędów, wszystkie mam

wydawcy posłać z końcem lata i miejmy nadzieję, że poprawi je w tzw. Dodruku (teraz ponoć się książki stale dodrukowuje, a nie robi kolejnego wydania). Martwię się o książkę, aby była czytana, i jak tylko masz ochotę i okazję – polecaj ją innym. Teraz to wielka sprawa książkę rozprowadzić, a reklama u nas nie jest prostą sprawą. Autorzy muszą pomóc wydawcom jak mogą.

Twoja uwaga o braku dyrektora, jest uwagą i wnioskiem na ten temat słusznym, bo moim założeniem było zrezygnowanie z tej postaci, jak z innych. We wstępie piszę, że jest to książka o wszystkim dobrym, za czym tęsknię. I że może należę do ludzi, którzy zapamiętują tylko dobre i szczęśliwe momenty swojego życia. Książkę zadedykowałam dzieciom w naszej najbliższej rodzinie, a więc założyłam, że będzie to książka rodzinna. („Mama i podróżniczka" – taki tytuł chciałam dać) i pozytywna. Wszystkie prywatności zostawiam na inną okazję, formę, inny czas, jeżeli … itd.

Wyobraź sobie, że w książce (s.28) (i w jakimś wywiadzie, bodaj w „Expressie") napisałam, że może kiedyś zamienię się w babsztyla i napiszę pełną żółci książkę zdradzającą sekrety swoje i innych, ale póki co nie umiem i nie czuję potrzeby… Otóż Krzysio K. Wypytywał mnie o bliższe znaczenie „tej pogróżki" (a ja pisałam z nadzieją, że to brzmi żartobliwie), nawet uściślając, że ja „nie znam jego sekretów, aby o nich kiedyś pisać". Coś w tym stylu (wspominał nawet o adwokacie). Joanna przyszła na

promocję (Krzysztof był poza Warszawą) i publicznie uściślała jakieś moje zdania w kontekście z nimi. Mnie się wydawało, i dalej wydaje, że piszę o nich z ciepłem i serdecznie, ale oni tak tego nie odebrali…

Dlatego dziękuje Ci za dobre słowa (bo Ty jesteś Wielki człowiek i twórca), szczególnie za te żeś „wspomniany" (nikomu innemu by nie przyszło na myśl, by podziękować). Przecież ja jestem ogromnie dumna z naszej znajomości, którą Ty cudownie ośmielasz mnie nazywać przyjaźnią. Jesteś jedyną jak dotąd osobą, która to zrobiła, reszta przyjaciół z „mojego polskiego ogrodu" wczytuje się i zastanawia… Nawet ktoś zarzucił mi, że jest go mniej niż innych… itd.

Że jestem taka dobra osoba… Nie wiem, jak dalece to dobry komplement (bo kobiety zawsze i wciąż oczekują innych jakby komplementów). Kiedy czytałam „KRÓL LEAR NIE ŻYJE" Marii Bojarskiej, zazdrościłam autorce, że umie tak bez ogródek pisać. Wychowano mnie z pewnymi zasadami, które dość silnie tkwią we mnie, i mam rozwiniętą wyobraźnię na krzywdę ludzką. I wiem, jak papier może skrzywdzić ludzi. Lubię plotki i różne wieści, ale chyba nie wyszłabym z tym na zewnątrz. Mam wiele przykładów moich i obok mnie żałosnych i smutnych, bolesnych i trudnych spraw i historyjek, ale czy mam o tym w biograficznej książce w tzw. … kwiecie wieku pisać?

Wiesz, trochę marzyło mi się, że Ty poprowadzisz to spotkanie w Klubie Księgarza (następne będę urządzać tylko zimą, abyś był w Warszawie) i że ja zacznę od stwierdzenia, żeś Ty mnie sprowokował do tego typu otwartej i egocentrycznej książki. Bo to prawda.

(…)

Serdeczności od nas wszystkich,

Oleńka

A. Ziółkowska-Boehm: Ulica Żółwiego Strumienia, Dom Książki w Warszawie, W-wa 1995 r., wyd. I, Twój Styl, Maj 2004 r., wyd. II.

A. Ziółkowska-Boehm: Nie minęło nic prócz lat, wyd. Nowy Świat, Warszawa 2003 r.

Szczęście w Wilnie

Zygmunt Vogel, Ulica w Wilnie.
XIX w. Muzeum Narodowe, Kraków.

Wileńska karta w twórczości Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

Romuald Mieczkowski

Słowa te nawiązują do poezji Gałczyńskiego, a mianowicie do jego wileńskiej karty w twórczości. Kiedy mówimy o Wilnie literackim, najczęściej nie w sposób uniknąć pewnego stereotypu, jaki się zamyka w klasycznej klamrze historii literatury polskiej z etapem wileńskim. Tę klamrę tworzą dwa wspaniałe „M”: Mickiewicz i Miłosz. Przy okazji przypominamy innych twórców, pochodzących z tej ziemi, bądź dawnych kresów. W niepamięć jednak idą ci twórcy, którzy byli tu „przybyszami”. A przecież dali się zauroczyć tej Ziemi, poświęcili jej piękne karty swojej twórczości!

Gałczyński do Wilna przyjechał w roku 1934, miał zamiar tu pozostać z rodziną na zawsze. Ściągając swą żonę – *srebrną Natalię,* w postaci zaproszenia wysłał jej wiersz pt. *Szczęście w Wilnie,* wydrukowany po raz pierwszy w „Słowie” Stanisława Cat Mackiewicza. Potem stale drukował i w innych pismach

wileńskich – w „Żagarach”, dodatku do wspomnianego tytułu, w „Środach Literackich”, „Kurierze Wileńskim”. To Gałczyńskiemu zawdzięczamy romantyczną, pomarańczowo-zieloną aurę miasta, pełną zaczarowanych dorożek, *„płynących w mglistość”,* z Gerwazeńkiem i Protazeńkiem, strażnikami mitu grodu nad Wilią.

Gałczyńscy mieszkali na Zarzeczu, przy ul. Młynowej 2, tuż przy dzisiejszym placu z pomnikiem Anioła Zarzecza, przy *„Wilence, rzeczce małej, swarliwej, / łkającej czarno, ciemno, po rosyjsku”*. Innym razem o niej napisze: *„Płynie Wilenka-rzeczka, księżyc w rzeczce jak świeczka.”* Zastali przychylną atmosferę, Gałczyński otrzymał wiele propozycji współpracy, w Celi Konrada uczestniczył w wieczorach literackich, niestety, jak pisze w *Albumie Wileńskie* Stanisław Lorentz, nie udała się Środa Literacka z poetą, który się opóźnił bardzo, a gdy już przyszedł, nie był wcale w stanie czytać wierszy…

Zygmunt Vogel, Wilno. Kaplica w Ostrej Bramie. Biblioteka Jagiellońska w Krakowie.

Codziennie wędrował autor *Zielonej Gęsi* swoimi dróżkami, bądź przez Ogród Bernardyński, Plac Katedralny do kawiarni „Literackiej”, bądź do Oddziału Wileńskiego Związku Literatów Polskich na Ostrobramskiej 9, bądź do Rozgłośni Polskiego Radia. Spotykał się z wieloma Wilnianami, rozmawiał, obserwował, pisał, również sporo dla „Smorgonii”, radiowego kabaretu satyrycznego w Wilnie – cotygodniowy felieton. Dla Rozgłośni Wileńskiej napisał słuchowisko *Taniec elfów* – satyrę na stosunki szkolne, której tekst zaginął.

W dodatku literackim do „Kuriera Wileńskiego”, wydanego na prima aprilis – 1 kwietnia 1935 roku pod redakcją Adolfa Pirmasa, a pod tym pseudonimem wydrukowali swe satyryczne wiersze Teodor Bujnicki, Jan Huszcza, Czesław Miłosz, Jerzy Putrament, Aleksander Rymkiewicz i Jerzy Zagórski, umieszczono też równolegle wiersz pt. *Depresja wileńska,* stylizowany pod gwarę wileńską, którego autorem był niejaki Karakuliambro. Pod tym pseudonimem krył się Gałczyński.

Tak inne od miast Rzeczypospolitej, ze swoją bogatą architekturą, różnojęzyczną mową ludzką, Wilno Gałczyńskiemu nie mogło nie dać wiele wspaniałego natchnienia. Wiersze otrzymały tu wiele ciepła, zanurzanego w otoczce tajemniczości, szeptanej słowami wielkiej miłości do niedawno poślubionej żony.

Kryło jednak Wilno i pewną zagadkę, która często zostawała nieodgadnięta dla ludzi tu przybywających. Otóż co sprawia, że magiczności miasta bywa za mało, żeby tu pozostać, żeby „wżyć się", żeby nie powstawały nieporozumienia z „tutejszymi". Czyżby trzeba tu się urodzić, aby rozumieć sedno tej ziemi? Gałczyński podzielił los Witolda Hulewicza – nie „znalazł się" w tym mieście i po nieudanych próbach osiągnięcia stabilizacji życiowej i przełamania kryzysu materialnego, po dwóch latach zamieszkania na Zarzeczu, w roku 1936 opuścił Wilno.

Napisał o mieście wiele pięknych wierszy, że wymienię te, które mają przymiotnik „wileński" bądź nazwę miasta w tytule. Prócz *Szczęścia w Wilnie* są to: *Elegie wileńskie, Noc w Wilnie, Wilno, ulica Wileńska, Wileńskie imbroglio.* Gałczyński uwiecznił ulice – Młynową, Szklaną, Gaona, Mylną, Podwójną, a szczególnie Niemiecką, która dla niego była jedną z najbardziej fascynujących ulic w mieście. W wierszach przywołuje często Mickiewicza, utrwalił też ludzi sobie współczesnych – m. in. Henryka Kunę, Henryka Dembińskiego, Iwo Jaworskiego,

Malfreda Kridla, Józefa Maślińskiego.

Z wędrówek po Wileńszczyźnie powstał wiersz *Duchy w Ornianach, czyli Prolog.* Orniany to wówczas majątek męża Hanki Ordonównej (Tyszkiewiczowej), w którym Gałczyńscy kilkakrotnie gościli. Upłynęło im tu lato 1935 roku – od połowy czerwca do połowy września. Poeta napisał dla pieśniarki program estradowy, teksty do melodii angielskich i francuskich. Niezwykle popularna artystka miała w swym repertuarze piosenki *Gałązka wiśni* i *Szafirowa romanca,* w jej stałym repertuarze były *Buty szewca Szymona,* do których teksty napisał właśnie Gałczyński.

W ciągu dwóch lat powstało około 60 utworów. Już po tym, jak Gałczyńscy przenieśli się do Warszawy i zamieszkali w Aninie, napisał nie tyle Wilnu, co sobie gorzki wiersz pt. *Wciąż uciekamy,* choć przed dwoma laty była to szczęśliwa „Farlandia" (od angielskich słów *far land* – daleki kraj), zaś 26 kwietnia 1936 roku tu na świat przyszła Kira. To rozstanie dojrzewało wcześniej, w wierszu, napisanym w tymże roku, poeta Natalii miał na okarynie zagwizdać *„o naszym wielkim bólu w małym Wilnie".* Podobno nie wszystkim podobało się, że Gałczyński „wyśmiewa" wileńską polszczyznę, jak odebrali niektórzy *Piosenki naczelnika wydziału grobownictwa.* Nie mogły się też podobać wypowiedzi poety, że Wilno ma tak dalece charakter rosyjskiej prowincji, iż wydaje się, jakby tu za chwilę miał

zjechać rewizor…

Miasto będzie wspominać w latach późniejszych – m. in. w *„Jubileuszowej” rozmowie z Kirą,* a w 1939 roku, tuż przed wybuchem wojny stwierdzi: *„A zachód jak witraż burguncki / roztłukł się już nad Wilnem.”*

Ale – jak już wspominałem – Gałczyński nie tylko w Wilnie pisał wiersze. Powstało niemało bardzo ciekawych felietonów, przedstawiających specyfikę miasta i jego mieszkańców, napisanych z werwą, barwnie i z humorem. Szkoda, że większość z nich zaginęła, głównie w redakcji warszawskiego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, który z większego cyklu wydrukował tylko trzy utwory. Są to *Wileńska jesień, Humpty-Dumpty, Sekta „Mazaro” zbiera na Gwiazdkę dla dzieci*. Z „wileńkich” rzeczy odnotować należy też *„Ze czcią o Tobie mówimy, Wieszczu!”* i szczególnie *Serdeczności wileńskie.* Ten ostatni felieton zaczyna się słowami:

„W dalekim cudacznym Wilnie – ludzie serdeczni. Co chwila słyszy się: – Kochanieńki, gołąbko, miłość uczyń, na herbatkę przyjdź! Z pierogami!

Ludność mówi po polsku z rosyjska, po rosyjsku z polska, na dobrą sprawę sam czort nie wie, o co tym ludziom chodzi. We mgle dusze zgubili. Bełkocą. Serdeczność za to niesłychana.

Oczywiście za serdeczność trzeba płacić serdecznością. Gorzej tylko, gdy np. ma się mieszkanie z wanną.”

Gdzie indziej czytamy:

Zygmunt Vogel, Kościół Misjonarzy w Wilnie. Muzeum Narodowe, Kraków.

„Magia słów: Rzeczywiście jest zmierzch wieczorny nad Wilnem. Powinienem zapalić lampę, ale jakoś – nie chce się. Otwieram okno na tę cudowną jesień 1934… Balladami o romansami pachnie… Po tych ulicach chodził… Przystawał… Zamyślał się… Ucho natężał ciekawie… Chłopak zadziorny. Tu w Wilnie nad jego czułymi wierszami płakali najprostsi. A przecież był poetą <<awangardy>>. Jakie to dziwne. A jakie proste!”

Klimat wileński świetnie też przedstawiony jest w przezabawnym

felietonie *Humpty-Dumpty:*

„Teoria i praktyka pojedynków wileńskich (po francusku: les duels vilains) jest zasadniczo taka sama jak i gdzie indziej, Z tą różnicą, że w Wilnie pojedynki odbywają się nieomal co tydzień. Zawsze przecie znajdzie się zagadnienie, którego nie sposób rozwiązać inaczej. Np. pan A. powie poufnie o panu B., że pan B. nie jest intelektualistą. Oczywiście w osobie pana B. cały kraj czuje się dotknięty do żywego. I naturalnie sprawa honorowa, humpty-dumpty."

Vilniana Gałczyńskiego są bardzo różnorodne. Obraz życia w mieście maluje człowiek niejako bezstronny, wrażliwy i wykształcony, mający skale porównawczą bycia w niejednym miejscu. Po przeczytaniu felietonów wyłania się obraz miasta „z charakterem", pełen kolorytu, harmonii, ale i sprzeczności. Pełen też niezwykłego piękna, jakby to była kraina, stworzona dla zakochanych i artystów…

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym", dodatku kulturalnym „Gazety" z Toronto, 2003 r.

Cichy bohater

Aleksandra Ziółkowska-Boehm i Nrman Boehm, Warszawa, fot. arch. rodzinne.

Nie jest żadnym odkryciem, że na drodze do NATO Polska nie miała samych sojuszników. Wśród sił, które – z różnych przyczyn – nie były zachwycone tą perspektywą, znalazła się część

amerykańskich elit politycznych i tamtejszej opinii publicznej.

W przełamywaniu negatywnego stosunku odegrało rolę wiele osób, znanych i nieznanych. Do tych drugich należy, niedawno zmarły, Norman Boehm (1938–2016). Ten Amerykanin o szwedzko-niemieckich korzeniach bezinteresownie i z powodzeniem włączył się w kampanię na rzecz Polski.

Kim był? Najkrócej – człowiekiem sukcesu, prywatnie – kuzynem wielkiej aktorki Ingrid Bergman. Wszechstronnie wykształcony (studia chemiczne i prawnicze), pracował w charakterze menedżera w koncernach naftowych ARAMCO (Arabian American Oil Company) w Arabii Saudyjskiej, dla Exxon (Esso) w Anglii, Norwegii i Teksasie. Zasłynął w 1976 roku wynegocjowaniem największego kontraktu w historii Esso i Shell, dotyczącego szybów wiertniczych na Morzu Północnym, na zawrotną ówcześnie kwotę 462 milionów dolarów. Zgodnie z najlepszą amerykańską tradycją miał też za sobą służbę wojskową, jako pilot marynarki wojennej.

Szczęśliwym zrządzeniem losu był mężem Aleksandry Ziółkowskiej, polskiej pisarki, zaangażowanej na rzecz Polski i Polaków na trudnym amerykańskim terenie. To jej zawdzięczamy, że Norman stał się – jak napisała – „niemal polskim patriotą”. Nie znając polskiego, zadał sobie trud poznania i zrozumienia niełatwej dla obcokrajowca polskiej

historii. Wiedza ta stała się solidnym „oprzyrządowaniem” merytorycznym, gdy zaczynała się Wielka Gra o NATO. Dodatkowym atutem były jego umiejętności negocjacyjne oraz znajomość specyfiki amerykańskiego rynku politycznego z jego mechanizmami i niuansami.

Kluczowe znaczenie dla decyzji USA o przyjęciu Polski miał Senat. Autor *Polskiej drogi do NATO* (Wrocław 2006) Jan Nowak–Jeziorański szacował, że około 1/3 amerykańskich senatorów stoi po przeciwnej stronie barykady. Aleksandra i Norman Boehm odegrali istotną rolę w ich reorientacji. Akcja polegała na zasypywaniu biur senatorskich listami i interwencjami. Norman Boehm wykorzystywał również media, w tym lokalne, co zmuszało indagowanych polityków do wyjaśnień.

Działania o charakterze lobbingowym przebiegały dwutorowo. Z jednej strony wywierano nacisk na polityków, z drugiej – na wyborców. Tych drugich należało przekonać i pozyskać dla sprawy polskiej, by z kolei oddziaływali na swoich senatorów, stanowych i federalnych. Nowak–Jeziorański nazwał obrazowo tę technikę „masażem przez wyborców”. Zaangażowanie Normana wyraziście podsumował, jako wręcz nieprawdopodobną skuteczność. – Czegoś podobnego jeszcze nie widziałem – napisał w prywatnym liście do Aleksandry Ziółkowskiej–Boehm.

Warto zaznaczyć, że Norman Boehm do końca życia pozostał

człowiekiem skromnym, ciepłym, powściągliwym i nie chwalił się swoimi dokonaniami na rzecz Polski, a było ich więcej. Takich przyjaciół brak najbardziej. Zawsze i wszędzie.

BM

Ministerstwo Obrony Narodowej

źródło: http://www.mon.gov.pl/polska-w-nato/droga-do-nato/cichy-bohater-r2016-07-03/

Już nie napisze

Florian Śmieja

Stefaia Kossowska, fot. Archiwum Emigracji

W 2003 roku pod Londynem w wieku 94 lat zmarła Stefania Szurlej-Kossowska, wdowa po znanym malarzu Adamie (1905-1986). Wybitna dziennikarka i pisarka była ostatnią redaktorką historycznego już tygodnika literackiego „Wiadomości”, który prowadziła po śmierci jego założyciela, Mieczysława Grydzewskiego i jego następcy, Michała Chmielowca, aż do zamknięcia pisma w 1981 roku.

Dzięki jej przezorności całe archiwum „Wiadomości” znalazło stałe schronienie na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w

Toruniu, gdzie stanowi nie tylko dodatkową atrakcję biblioteki, ale przede wszystkim jest bogatym źródłem wiedzy dla studentów i pracowników naukowych.

Stefania Kossowska na rysunku Feliksa Topolskiego, fot. Archiwum Emigracji

Współpracowałem z Kossowską dorywczo jeszcze w „Wiadomościach”, a później, częściej, w „Środzie Literackiej”, miesięcznym dodatku do londyńskiego „Dziennika Polskiego”. Była to współpraca przyjemna, dająca wielką satysfakcję, gdyż

Kossowska potrafiła do końca pisać listy i notatki do swoich współpracowników i pięknie teksty dobierać, składać i przyozdabiać ilustracjami.

Kiedy skończyła 93 lata postanowiła zrezygnować z ulubionego zajęcia i przenieść się do polskiego ośrodka w Kent. Tam ją odwiedziłem w maju 2003 roku. Zawiozła mnie do niej Heide Bujnowska, która bardzo chciała poznać sędziwą redaktorkę.

Zastaliśmy ją w jej jasnym, dwupokojowym mieszkanku na pierwszym piętrze domu tonącego w kwiatach i angielskiej zieleni. Na stole leżały książki i czasopisma polskie, które regularnie czytała. Z dalekich krajów telefonowali przyjaciele.

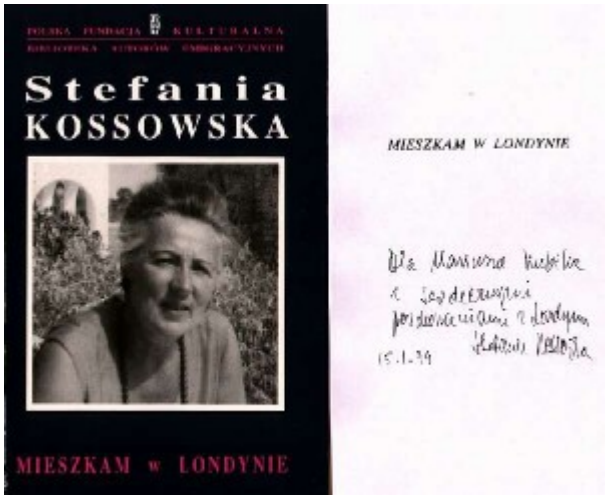

Pani Stefania wyglądała uroczo. Pełna była życia i energii. Cieszyła się z wizyty i zasypywała pytaniami i informacjami. Kiedy wspomnieliśmy Herberta, nie omieszkała napomknąć, że książka Siedleckiej „Pan od polskiego”, jej zdaniem, nie była dobra, gdyż autorka nie przeprowadziła koniecznej selekcji przytoczonych źródeł. Zapamiętałem, że bardzo chwaliła powieść „Pogranicze” Hanny Świderskiej. Podzieliła się anegdotą o Jerzym Pietrkiewiczu, którego poznała jeszcze przed wojną w redakcji „Prosto z

mostu”.

Przy pożegnaniu wręczyłem jej moją książkę „Zbliżenia i kontakty”, traktującą głównie o pisarzach i redaktorach emigracji niepodległościowej. Uradowała się i obiecała o niej do mnie napisać.

Już nie napisze, niestety. Zmarła 15 września 2003 roku.

Stefania Kossowska wraz z Wacławem Iwaniukiem, fot. Archiwum Emigracji

Stefania Kossowska w redakcji „Wiadomości”, fot. Archiwum Emigracji.

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, 2003 r,

---

Irlandka B.G. MacCarthy (1904-1993) – niezapomniany

pedagog

B.G. McCarthy

Florian Śmieja

Małe instytucje nie radzą sobie z indywidualnościami, jeśli kapryśny los je nimi obdarzy. To, co mogło stać się wielką szansą

i wybiciem na czoło, nieraz bywa zaprzepaszczane i niedostrzegane a często nawet pomniejszane i zwalczane. Taka była dola, moim zdaniem, Bridget G. MacCarthy, profesora irlandzkiego uniwersytetu w Cork, kobiety nieprzeciętnej. Napisała ona wybitną książkę, zanim feministki zorientowały się w nośności jej tematu. Była forpocztą, za którą długo nie było następców.

Jeden z dwu artykułów prasowych, jakie się ukazały w rodzinnym mieście autorki z okazji jej śmierci, pióra dziennikarki Mary Leland, zaczyna się mało życzliwie. “Przez lata pocieszałam się przeświadczeniem, że nie uczęszczając na Uniwersytet w Cork, aby studiować filologię angielską, nie miałam B.G.Mac Carthy za profesora.“ Przytoczyła następnie bezkrytyczne, negatywne opinie studentów dodając wprawdzie, że łagodniej o niej wyrażaliby się koledzy po fachu, lecz tym niemniej konkludowała, że “jej okres przeminął nieżałowany w przeszłość, nie wyróżniający się osiągnięciami”.

Tak ją żegnała rodaczka, która jakby ze zdziwionym niedowierzaniem donosiła o wznowieniu zasadniczego dzieła B.G.MacCarthy “The Female Pen” przytaczając niezrozumiałe pochwały edytorki. No, jeżeli B.G.MacCarthy nie miała osiągnięć, to co dopiero powiedzieć o innych wykładowcach jej uczelni?

Jak to się stało, że książka tak ambitna i na czasie nie została

doceniona na świecie i pozostała nieznana w Corku? Tu, sądzę, mamy do czynienia z zazdrością zawodową środowiska nie nadążającego za horyzontami autorki, zemsta przeciętności nad talentem i obojętność wojujących feministek na jej osiągnięcia za odmowę zasilenia ich falangi hałaśliwych aktywistek, za to, że nie szukała sensacji, że była niewyrachowana.

Na jesieni 1947 roku zajechałem do irlandzkiego miasta Cork z gromadką polskich studentów, byłych żołnierzy i cywilów. Byli wśród nich m.in. Wojciech Gniatczyński, Janusz Leszczyński, Ewa Ponińska i Witold Szatkowski, syn Zofii Kossak-Szczuckiej. Zameldowałem się na uniwersytecie, który miał być moją *alma mater* przez trzy lata. Uderzyła mnie niezwykła sytuacja pedagogiczna na uczelni. Na humanistyce cztery katedry filologii łącznie z angielską zajmowały kobiety i to w kraju, który kojarzono z reżimem surowej katolickiej ortodoksji. Choć nie wszystko godne było pochwały, to tak widoczne docenianie intelektu kobiet w owym czasie świadczyło jak najlepiej.

Czterdziestotrzyletnia MacCarthy na katedrze filologii angielskiej znamionowała możliwości, które stały otworem przed młodymi uczonymi.

Urodzona w 1904 roku uzyskawszy licencjat i magisterium w rodzinnym mieście, wyruszyła po doktorat do Cambridge. Napisała rozprawę o Robercie Browningu drukowaną przez

London University Press. Natomiast w Cork w 1944 roku wyszła jej książka “The Female Pen“ w dwu tomach, historia pisarek języka angielskiego. Młoda Irlandka stała się jedną z wczesnych obrończyń piszących kobiet, choć sprzeciwiała się, by ją zaliczano do feministek, która upomniała się o docenienie wkładu kobiet w ewolucję powieści angielskiej i domagała się ich równouprawnienia jako pisarek. Te okazałe tomy otrzymałem od niej w podarunku, ale wtedy nie potrafiłem ich docenić, a po latach sprezentowałem je z kolei bibliotece Uniwersytetu w Nottingham, gdzie byłem zatrudniony.

Objąwszy stanowisko profesora w Cork, zdobyła sobie sławę postrachu studentów, bo będąc wybitną uczoną wymagającą wiele od siebie, oczekiwała również sporo od innych, spodziewała się rzetelnego umysłowego wysiłku od swoich słuchaczy. Była znakomitą wykładowczynią, choć miała swoje preferencje. Nie znosiła poezji Byrona. Od niej nabrałem słusznego respektu dla wielkiego talentu narracyjnego Jane Austen.

Mieszkająca z swoją ciotką, ambitna, niezamężna kobieta robiła wrażenie osoby nieprzystępnej. Moim zdaniem, była raczej osamotniona, nie znajdowała w studentach partnerów intelektualnej przygody, wrażliwych towarzyszy estetycznych przeżyć. Kiedy wykładała, tylko echo jej głosu rozlegało się w amfiteatrze wypełnionym onieśmielonymi studentami. Owszem,

była wymagająca, ale czekała na respons, na znak rozumienia, nie lubiła niemoty. Przestraszeni słuchacze z kolei przyczyniali się do utrwalenia legendy o nieużytej wykładowczyni. Panująca cisza była dla obu stron przykra. Pamiętam, kiedy raz B.G. MacCarthy czytała czy raczej recytowała obszerny wczesny pomat angielskiego poety. Kiedy wreszcie skończyła znużona spytała o komentarz. Zapanowała cisza i wtedy odezwałem się przerywając złowieszcze milczenie "Poemat stanowczo za długi". Przelękłem się spontaniczności i apodyktyczności mojego odezwania się, ale pani profesor z łaskawym uśmiechem przytaknęła i ku zdumieniu słuchaczy zgodziła się ze mną "Niestety. Cierpi na dłużyzny".

Deklarując się być miłośniczką prozy angielskiej, sama władała znakomitym, klarownym stylem pełnym humoru i nie stroniącym od ciętych, dosadnych sformułowań. I tak, mówiąc o wykształceniu odebranym przez kobiety w czasach patriarchalnego traktowania ich przez mężczyzn, określiła je jako wykształcenie, które kwalifikowało je na żony i matki w tym świecie a na święte w tym lub przyszłym świecie. Widać, że imponowały jej odwaga i szacunek dla siebie bohaterek powieści Jane Austen, ale nie wahała się określić głupiej dziewczyny "malutkim bezmyślnym zwierzątkiem" i broniła lekkiego potraktowania jej przez autorkę słowami "dlaczego używać dwuręcznego miecza, aby ściąć główkię motyla"? Na postawie podobnych ocen stał się jasny ideał B.G. MacCarthy – podziw dla

nieokiełzanego ducha i odważnego serca.

Nieco później zaprosiła mnie do swojego domu, w którym mieszkała z ciotką. Zacząłem bywać częściej, gdyż zaproponowała mi dawanie jej lekcji języka polskiego, bo zapragnęła się go nauczyć.

Nauka wymagała dużego wysiłku obu stron. Obowiązki uczennicy pedagogiczne i administracyjne nie zostawiały wiele czasu, nauczyciel zaś nie miał kwalifikacji i praktyki, a do tego pomoce były skromne. Nie był dostępny nawet podręcznik Józefa Teslara ze słynnymi zdaniami takimi jak "Ordynans daje pić karemu koniowi pana pułkownika". Ale lekcje się odbywały, a uczennica na improwizowanym materiale poznawała powoli zawiłości języka polskiego. Wdzięczna nie zapomniała potem o moim wysiłku, gdyż wielkodusznie w liście polecającym napisała: "Biorąc pod uwagę ograniczone zdolności jego studentów (oprócz niej lekcje brał również profesor filologii irlandzkiej), dobrze świadczy o Florianie Śmieji, że doprowadził nas do momentu pozwalającego nam z pewnym wysiłkiem czytać po polsku i że zaspakajał nasze zaciekawienie polską literaturą, tak że jesteśmy zainteresowani nauczyć się tego trudnego języka, by dotrzeć do estetycznych wartości, o których mówi tak elokwentnie".

Zagadnęła mnie kiedyś, czy domyślałem się powodu, dla którego

postanowiła nauczyć się polskiego. Tłumaczyła, że to był jej gest przyjaźni i respektu wobec Polaków, którzy nagle po zakończeniu się drugiej wojny światowej pojawili się na irlandzkich uniwersytetach. Podjęła naukę tego trudnego języka i kultury polskiej, o które z takim uporem walczyli przez dwa wieki w imię braterstwa i ludzkiej solidarności. Doceniała naszą postawę i emigracyjną sytuację, a także wysiłki ducha jednego z narodów mniej szczęśliwych, upominających się o godne miejsce na świecie.

B.G. MacCarthy była gorącą patriotką. Za jej życia wybuchło krwawe powstanie w Dublinie, z pobudek patriotycznych, burmistrz Corku umarł śmiercią głodową, ale w końcu większa część wyspy uzyskała samorząd i ogłosiła niezależną republikę.

Jako pedagog nie miała złudzeń, co do zacofania intelektualnego swojego narodu na skutek długoletniej niewoli i wiekowej dominacji i dyskryminacji przez Anglosasów. Swojej ostrej krytyki nie kryła nawet kiedy w roli egzaminatora przyjechał z Oksfordu profesor J.R.R.Tolkien, późniejszy autor “Władcy pierścieni”. Gdy skarżył się na mizerny poziom studentów irlandzkich, bez wahania wskazała Anglików jako właściwych sprawców takiego stanu rzeczy.

Kiedy wyjeżdżałem z Cork, bo zaofiarowano mi asystenturę na Uniwersytecie Londyńskim, na drogę wręczyła mi swoją

pierwszą skórzaną teczkę, z którą zaczęła karierę nauczycielską. Długo mi służyła.

Rozeszły się nasze drogi, nim mogłem właściwie ocenić walory tej nieprzeciętnej osoby. Po nieudanym małżeństwie, które zaryzykowała będąc w średnim wieku, nagle enigmatycznie zrezygnowała z kariery akademickiej, której w prowincjonalnym uniwersytecie rodzinnego miasta była niewątpliwie wielką ozdobą. Zmarła w 1993 roku. Ponoć miała oświadczyć, że miała wszystkiego dość.

Myśl, że ja także w jakimś stopniu mogłem przyczynić się do jej niespodziewanej, dramatycznej decyzji, dziś napawa mnie smutkiem.

Zazna ochłody

Kazimierz Braun

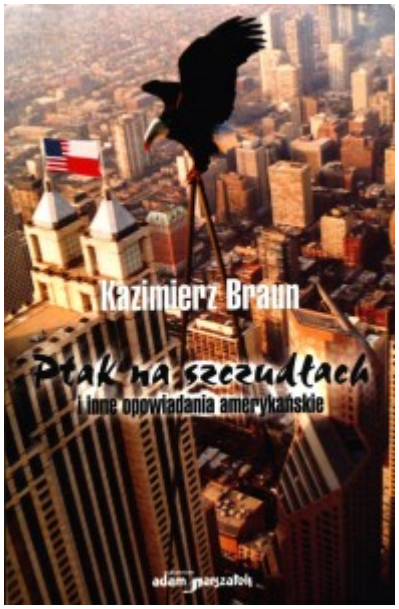

Strzeliła furtka do sadu. Zadudniły kroki po śnieżce. Biegnący wołał, z trudem łapiąc oddech.

„Proszę księdza dobrodzieja, stary Zając spadł z rusztowania!”

Postać w słomianym kapeluszu, pochylona nad otwartym ulem wyprostowała się w chmurze kłębiących się wokół niej pszczół.

„Cicho mi w pasiece!” Powiedział niegłośno ksiądz do wyrostka, który zatrzymał się w bezpiecznej odległości. „Co się stało?”

„Stary Zając zleciał z rusztowania. Co go ruszą to wrzeszczy. A jak leży to ledwie dycha”.

„Zając, murarz?”

„Majster. On właśnie. Niech dobrodziej biegną”.

„Zaraz przyjdę. Po doktora posłali?”

„Poleciał Bolek od Wnuków, ale mówią, że Zającowi to księdza nie dochtora potrzeba”.

„Pomóż mi daszek założyć”, powiedział ksiądz.” Nie można tak ula zostawić”. Schylił się i postawił na ziemi trzymany dotąd w ręce garnek, z którego dobywał się dym.

„Kiedy mnie pszczoły pożrą…”

„Chodź mi tu zaraz, strachoput się znalazł. Jak cię która użądli to tylko na zdrowie. Zdjął obszerne pszczelarskie rękawice i rzucił chłopcu.

„Włóż rękawice. Mnie żadna nie użądli”.

Chłopak pospiesznie sięgnął w trawę po rękawice, włożył je i podsunął się niepewnie do ula. Razem z księdzem ujął drewniany daszek leżący na ziemi i przeniósł go nad kłębiący się od pszczół ciemny otwór.

„Użarła mnie!” Wrzasnął nagle, ale nie wypuścił daszka.

„Cicho” skarcił go ksiądz. „Powoli daszek osadzaj, żebyś której nie przyciął”.

Zakładali daszek ostrożnie. Ksiądz ruchem pewnym i dokładnym,

młody pomocnik dłońmi drżącymi od strachu, szyję wtulając w kark, potrząsając głową nerwowo i starając się chodź w ten sposób odpędzić świdrujące mu słuch pszczoły.

„Znowu!” Zapiszczał.

Gdy tylko daszek spoczął na ulu, chłopak runął w kierunku furtki, rozcierając kark i ucho. Ksiądz ogarnął uważnym spojrzeniem ul. Był dobrze zamknięty. Sutannę, którą miał zatknął za pasek, opuścił na białe portki. Zdjął słomiany kapelusz i otarł pot z czoła rękawem sutanny. Było bardzo gorąco, mimo popołudniowej pory. Słońce stało wysoko na czystym niebie lipcowego Teksasu. Wziął garnek z kurzem i poszedł szybkim krokiem ku plebani.

Był to dom duży, murowany, rozłożysty. Stał na pochyłości pagórka, nieco powyżej pasieki i sadu. Ponad plebanią, na łagodnym wzgórzu wyrastały wzniesione wysoko mury kościoła. Budowla była pokaźna, z szeroką nawą i potężną wieżą, jeszcze bez hełmu. Mury były obstawione gęsto rusztowaniami. Jasność drewna wysokich słupów rusztowań i przecinających je pomostów z desek tkała gęstą a lekką sieć, w którą całość konstrukcji była otulona, podobna raczej do ogromnego okrętu budowanego w stoczni albo do stosu drewna ułożonego na gigantyczne ognisko, przez który, jak już naniecony ogień, prześwitywała świeża cegła murów.

Większy będzie od aryjskiego, pomyślał ksiądz z dumą. Zobaczy ten biskup irlandzki, że Polacy nie gorsi niż jego Ajrysze. I szkoła przy kościele stanie. Też większa od aryjskiej. na chwałę Boga i ojczyzny imienia. Dzieci po polsku uczyć się będą, jak w kraju.

Kościół, wieńcząc wzgórze, stał ponad ogromnym polem dojrzałej, lekko falującej, złocistej pszenicy, za którym dopiero daleko widać było ciąg domków, dalej hale i kominy fabryki, a jeszcze dalej wieżę irlandzkiej bazyliki. Specjalnie wybrali to wzgórze po drugiej stronie miasteczka, aby się odróżnić, od Ajryszów odsunąć, wyżej od nich kościół postawić i ustanowić własny punkt środkowy, główny, zborny dla krainy, przyciągający oko i myśl, skupiający potrzeby: tu mieli przynosić swoje strachy, wypłakiwać upokorzenia, koić tęsknoty, chwalić Boga za łaski i prosić o opiekę. Tu przychodzić na msze i sumy, różańce i procesje, dzieci posyłać do szkoły, chrzcić się i żenić, bierzmować i grzebać. Ale pogrzebu, odkąd przyjechali całą wsią w te strony, jeszcze nie było.

Ksiądz wszedł szybkim krokiem na ganek plebani. Zaczerpnął parę razy ciepłej wody z cebrzyka stojącego pod rynną i zalał węgle w garnku z kurzem. Odstawił go na schodki, gdzie leżały porzucone przez chłopca rękawice. Wszedł do środka. Uderzył go stojący zaduch i upał. Musiał przyzwyczaić chwilę oczy do zmroku za zaciągniętymi grubymi zasłonami. Z pokoju, który służył za tymczasową zakrystię, wziął stułę z szuflady i – po

krótkim wahaniu – również skórzany sakwojaż, jakby lekarski, w którym miał przygotowane oleje święte, buteleczkę z wodą święconą i kropidło, świecę gromniczną i zapałki, a także komżę i „Sakramentarz”. Jeszcze się raz zastanowił, wziął czysty korporał z szafki i przeszedł do drugiej, większej izby, która była tymczasową kaplicą, przyklęknął przed małym ołtarzem, uchylił drzwiczki tabernaculum, ładnie odrobionego w lipowym drewnie, wyciągnął kielich z komunikantami, jeden z nich położył na korporale i zawinął. Schował kielich, przyklęknął, wrócił do zakrystii. Włożył korporał z wiatykiem do walizeczki. Wyszedł na ganek. Uderzyło go słońce. Zmrużył oczy i kłusem skierował się w stronę murów kościoła.

Gromada starszych i młodszych mężczyzn w koszulach z zakasanymi rękawami tworzyła nieregularny krąg. Słysząc kroki księdza, rozstąpili się bez słowa. Na spalonej ziemi, w drobnym pyle szarego piasku i odłamkach cegły leżał na plecach człowiek. Jego piersi unosiły się spazmatycznym, nieregularnym oddechem, bose stopy leżały nieruchomo na piasku, a palce dłoni drapały kurczowo ziemię. Głowę trzymał sztywno, na wyciągniętej szyi. Oczy miał zamknięte, a zęby zaciśnięte. Jego wargi, na których były ziarenka piasku, poruszały się rytmicznie i dochodził z nich niezrozumiały szept. W jego rzadkich, siwych włosach również był piasek, na policzkach i czole, białe plamy murarskiej zaprawy.

„Bardzo jest kiepski, proszę jegomości”, powiedział najbliżej stojący mężczyzna. „Chyba się przetrącił. Jak spadł, tośmy go chcieli pozbierać, ale nie dał się ruszać. Tylkośmy go na plecy przekręcili, żeby się nie zadławił”.

„Jak to się stało?” Zapytał półgłosem ksiądz.

„Poślizgnął się na rozlanej zaprawie. Sam musiał kielnią nachlapać. Stary jest, niedowidzi, a rwie się do roboty, w domu by siedział. Zleciał z rusztowania jak worek, sześć pięter”. Powiedział ten sam mężczyzna.

Ksiądz dał mu sakwojaż do potrzymania i przyklęknął przy rannym. Ostrożnie dotknął jego czoła. Było spocone, ale chłodne. Pod wpływem dotknięcia leżący otworzył oczy.

„Ksiądz proboszcz…” Powiedział z trudem. „Chcieliśmy dziś pod dach podciągnąć. A tylko przerwa w robocie przeze mnie…”

„Gdzie was boli, Łukaszu?” Zapytał ksiądz.

„W środku”. wymamrotał leżący wydymając wargi i kłapiąc zębami, które zaraz zacisnął z powrotem. „A najwięcej w krzyżu”. Dodał. „Ale jak tak leżę na plecach i się nie ruszam, to idzie znieść”.

Widać było, że stara się utrzymać swoje ciało jakby na ostrej kalenicy, z obu stron której czyhał na niego ból. Raz po raz obsuwał się to na jedną, to na drugą stronę tej krawędzi i wtedy wstrząsał nim dreszcz, mięśnie napinały się, zaciskały się zęby, policzki zaczynały drgać i oddech dobywający się przez nos stawał się pospieszny. Ksiądz ostrożnie ujął jedną z jego nóg obiema rękami za kostkę i uniósł ją nieco.

„To was boli?”

„Nie”, powiedział zduszonym głosem ranny.

Ksiądz ponowił badanie, unosząc drugą nogę: „A to?”

„Nie…”

„Dźwignąć się możecie? Spróbujcie”. Ksiądz podetknął leżącemu rękę pod kark. Tamten zebrał się w sobie, napiął, uniósł głowę i nagle jak ugodzony padł znów na wznak, uderzając głową w piasek, aż pył się podniósł.

„Leżcie, leżcie sobie…” Powiedział ksiądz.

Zrozumiał, że stary murarz jest sparaliżowany od pasa w dół i musi mieć złamany kręgosłup. Znów dotknął jego czoła. Było zimne. Rozpiął leżącemu koszulę i dotknął piersi. Była mokra od

potu, ale też zimna. Ksiądz pomyślał, że to zimno ciała może zwiastować rychły koniec.

„Posłaliście po doktora? Tak?” Zapytał stojących.

„Poleciał Bolek”.

„A po synów do fabryki?”

„Właśnie bieżą przez pole”, powiedział ktoś inny. Ksiądz spojrzał w stronę osiedla i zobaczył daleko na miedzy dwie głowy biegnących, ledwo wynurzające się z wysokiej pszenicy. W pewnej odległości za nimi, nieco wolniej, poruszały się inne głowy, zapewne kobiet, które musiały zostać również zaalarmowane. Spojrzał znów na leżącego na ziemi człowieka.

Chcieli go zostawić w kraju i starą też, a wziąć tylko synów. Ale się uparł, że pojedzie, jak cała wieś, to cała, wszyscy, co do jednego, nie biorąc tylko niedołęgów, kalek, przygłupów i starców nad grobem, a on był krzepki jeszcze, umiejętny i bardzo robotny, choć trochę niedowidział. Ksiądz się wreszcie zgodził, bo Łukasz Zając był murarzem sławnym na całą okolicę i można było liczyć, że się bardzo przyda za morzem. Przy budowie kościoła, mimo kłopotów z oczami, nie folgował i pierwszy rwał z rusztowania na rusztowanie, coraz wyżej. Zawsze na procesjach w rodzinnej wsi kroczył na przedzie niosąc krzyż, to i w Corpus

Christi, gdzie schodzili ze statku na ląd też poszedł pierwszy i niósł na przedzie całej struchlałej gromady wielki krzyż parafialny. Śpiewał najgłośniej ze wszystkich, głośniej nawet od organisty, na całe gardło wydzierał „Serdeczna matko”, aż niosło po porcie, tym śpiewem zagłuszając okropny strach, gdy po raz pierwszy stopy stawiali na tej ziemi obcej.

Ksiądz pojechał do Ameryki wcześniej, żeby wybrać miejsce osiedlenia, przygotować nadania ziemi, wybrać drogę ku niej, zgromadzić żywność na pierwsze tygodnie. Witał ich w porcie konno, z krucyfiksem w uniesionej wysoko dłoni, a oni szli ku niemu ze statku, po trapie, śpiewając, niosąc pługi, cepy, kosy, piły, kielnie i inny dostatek, wszystko, jak im wziąć do nowej ziemi nakazał. Pierwszy kroczył Zając, tak go zapamiętał: mimo gorąca, w białym, ogromnym, odświętnym kożuchu, z otwartą w śpiewie gębą, z wielkim parafialnym krzyżem, wyciągniętym przed siebie, jak tarcza. I zbliżały się ku sobie te dwa krzyże, jeden niesiony przez Zająca, drugi w dłoni księdza na koniu.

Ksiądz pomyślał wtedy, że oto krzyż w kraju idzie naprzeciw krzyża emigracji. Który cięższy?

A gromada doszła do niego, patrzył na nich z wysoka, ich twarze były wzniesione w górę, oczy pałające, wciąż śpiewali potężnie, pierwszy Zając klęknął i cała parafia za nim, kilkaset luda, gruchnęli na kolana. Skończyli śpiew i zamilkli. Nastała wielka

cisza. A on wzniósł krucyfiks jeszcze wyżej i pobłogosławił ich w tej ciszy szeroko, zamaszyście.

„W imię Jezusa Chrystusa i Panny Maryi, Najświętszej Matki Jego, witajcie!” Zakrzyknął.

W gromadzie nagle powstał gwar, odezwały się płacze, ludzie podrywali się z klęczek, garnąc się do niego i tłocząc, aż koń zaczął parskać i stawać dęba pod natłokiem, musiał go mocno cuglami poskramiać. Zatknął krucyfiks za pas i ręce do nich wyciągał, które całowali, i buty jego i sutannę. Był dla nich jedynym swojakiem na obczyźnie.

„Odstąpcie”, powiedział ksiądz do gromady stojącej nad rannym. „Muszę go wyspowiadać”.

Zdjął słomiany kapelusz i odłożył go na ziemię. Narzucił stułę na szyję. Schylił się niżej ku twarzy rannego. Ludzie bez słowa poszerzyli nieco krąg, ale nadal stali nieopodal wpatrzeni ponuro w leżącego i w księdza, który klęknął teraz na oba kolana, pochylił się ku głowie starego Łukasza i coś mu szeptał do ucha. Dwaj młodzieńcy, synowie, zdyszani dobiegli do kręgu, chcieli się przedrzeć do leżącego, ale inni ich powstrzymali. zaczęły nadchodzić kobiety. Rozległy się ich płacze i głośne uwagi – „Stary mógł się nie pchać na rusztowanie tak wysoko” – „Nie poradzisz, ale on musiał pokazać jak się muruje” – „Murarz to był

dobry, nie odmówić” – „Znał się na rzemiośle” – „Spadł, mówię wam, jak ten worek z wysokości” – „Na chwałę Bożą chciał się przyczynić” – „Nie stanęłaby ta budowla bez niego” – „Ma za swoje wynoszenie się” – „Jakie tam wynoszenie, majster był zawołany” – „I na co mu to teraz, w prochu se leży” – „Nawet w ziemi swojej rodzonej świętej nie spocznie”.

Stopniowo krąg się pogrubiał, pojawiały się dzieci, przybywało kobiet, które dowiadując się o wypadku, biegły pod kościół. Znali się przecież wszyscy w tej wsi, a teraz robotniczej osadzie, ale dla nich to była wciąż polska wieś. Budowali kościół pospólnie, młodzi i starzy, mężczyźni i wyrostki, w ciągu długich letnich miesięcy pracując cały dzień bez ustanku, bo fabryka miała dwie zmiany i kiedy pierwsza zmiana szła do hal, to druga do kościoła, kończyła tylko trochę wcześniej, żeby coś zjeść i pójść do fabryki na drugą zmianę, a już pierwsza zmiana przychodziła prosto z bramy fabryki na budowę kościoła, kobiety i dziewczyny donosiły jedzenie w dwojakach, w koszykach, picie w butelkach. I tak szło od szóstej rano do dziesiątej wieczorem, na dwie zmiany. Kościół rósł jak na drożdżach, strzelał w górę każdego dnia. Teraz najwięcej ludzi pracowało przy murarce i kamieniarce, ale równocześnie już stolarze robili drzwi i futryny, okna i ramy okienne, ławki i ołtarze. Kowale kuli świeczniki, zamki i skoble. Dekarze szykowali krokwie dachowe i gonty. Kobiety szyły obrusy na ołtarze i chorągwie; tylko trzy przywieźli ze sobą przez morze. Matki Boskiej Częstochowskiej, te poświęconą świętemu

Florianowi, patronowi od ognia, bo na nowej ziemi, gdzie miały stanąć ich nowe domy, tego się najbardziej chcieli ustrzec, a trzecia ze świętym Krzysztofem, którego wcześniej nie znali, ale tak im ksiądz nakazał, aby ich święty Krzysztof bezpiecznie przez wodę przeprawił, co się też stało. A tu miały stanąć w kościele chorągwie każdego cechu, każdego bractwa, w każdej ławce zatknięte i na procesje, to miał ich cały las iść i skrzydłami ich osłonić jak proporce wojska niebieskiego albo jak polska starodawna husaria, w tym kraju obcym, tak ich pouczał proboszcz. Feretrony też od razu były w robocie, obrazy do nich już zamówione u słynnego artysty rodaka, w samy, Pittsburgu, a figury u innego w Filadelfii. Obraz Panny Maryi Pocieszenia, patronki parafii, przywieźli z kraju. Trochę mały będzie jak na wymiar wielkiego ołtarza, ale swój za to. Ogromną, gruba ramę już mu rzeźbią, a nie pożałują na jej pozłotę. Płacą na ten kościół, dom w dom, po piątej części tygodniówki każdego robotnika, dużo, to są straszne pieniądze, ale sama tygodniówka jest tak ogromnym bogactwem, jakiego nikt z nich wcześniej nigdy na oczy nie widział, a nawet nie słyszał, żeby kto tyle zarabiał za pracę rąk swoich, więc na chwałę Bożą niech to idzie w dziękczynieniu za to wielkie szczęście, które ich tu spotkało, choć pracują w fabryce bardzo ciężko i mężczyźni i niedorostki, ale wszyscy, najbiedniejsi nawet, już w swoich domkach mieszkają, gdzieżby tam mieli skąpić na dom Boży.

„Żałujesz?” Zapytał ksiądz Zająca. Żałujesz za wszystko?”

„Zimno mi” Wymamrotał stary.

„Najpierw powiedz, że żałujesz”, zgromił go ksiądz głośno.

„Zimno bardzo”.

„Żałuj za grzechy choć po cichu, a ja ci udzielę rozgrzeszenia”, zrezygnował kapłan.

„Ego te absolvo…” zaczął mówić prędko, widząc jak twarz leżącego w prochu człowieka szarzeje.

„Proszę dobrodzieja! Dochtor pojechał do porodu na wieście! Nie wróci aż na iwning!” Usłyszał drącego się już z daleka Bolka.

„Cicho dźboki, spowiada się teraz”, zgromił go któryś z gospodarzy i chłopak stanął nagle bezradnie z tyłu kręgu, a potem zaczął się powoli przeciskać do pierwszego rzędu, dysząc głośno.

Ksiądz wstał. „Niech podejdą synowie się pożegnać”, nakazał. „A wszyscy na kolana”. Tłum gruchnął na kolana, a jednocześnie wydobyli się zeń dwaj młodzi robotnicy w poplamionych smarem kombinezonach, ociekający potem. Jasne czupryny spadały im na oczy. Podchodząc wycierali ręce o spodnie. Przyklękli.

„Ojciec”, powiedział starszy, „ojciec pobłogosławcie”. Umierający nie zareagował. Grzebał zakrzywionymi palcami ziemię. W tłumie rozległ się szloch. Obaj młodzi ludzie schylili się do samej ziemi i jeden po drugim ucałowali prawą dłoń ruchliwą, obsypana piaskiem. Pozostali na klęczkach. Ksiądz położył obu dłonie na głowach. „Ja was błogosławię”, powiedział łagodnie. „A matka tam z nieba na was spogląda”. Znów rozległ się płacz z kręgu ludzi.

„Sakwojaż” Zawołał głośno ksiądz. Mężczyzna trzymający do tej pory walizeczkę podbiegł skwapliwie. Ksiądz otworzył ją i wyjął korporał. Wydobył z niego wiatyk. „Ecce Agnus Dei, ecce qui tollit pecceta mundi…” Przeżegnał komunikantem leżącego i zbliżył go do jego ust. Ale ranny miał zaciśnięte zęby. „Otwórzcie gębę, stary”, powiedział ksiądz głośno, ale to nie poskutkowało. „Corpus Domini nostri Jesu Christi custodiat animam tuam in vitam aetemam”. Kontynuował ksiądz, ale ranny nie zareagował. „Nie ma kto noża?” Zapytał ksiądz.

Obaj synowie wyciągnęli natychmiast z kieszeni portek koziki. Ksiądz położył korporał na piersiach leżącego, a na nim opłatek. Wziął nóż od jednego z chłopców, otworzył ostrze, ostrożnie wsunął je pomiędzy zęby starego i przez utworzoną szczelinę wsunął opłatek. Wycofał ostrze. Zęby szczęknęły. Oddał nóż. Złożył korporał do sekwojaża i sięgnął po oleje święte. Mrucząc modlitwy, pośpiesznie namaszczał oczy, uszy, nozdrza, ręce, nogi

i czoło leżącego, który nagle zakrztusił się, wzdrygnął i zaczął rzucać głową w obie strony, więc ksiądz przytrzymał go za brodę, aby opłatek broń Boże, nie wyleciał mu z ust. Ranny chwilę szamotał się, a potem ruchy jego spowolniały i ciało jakby zelżało, a rysy się z wolna wygładziły. „Mówcie: Ojcze nasz”, nakazał ksiądz gromadzie i sam zaczął głośno, a ludzie dołączyli chórem. Rozległy się znów kroki kogoś biegnącego. Gdy „Ojcze nasz” miało się ku końcowi, odezwał się głos:

„Urwałem się z plantu, proszę dobrodzieja, może coś pomóc?” Ksiądz rozpoznał głos organisty. Nie odpowiedział, tylko od razu zaśpiewał: „ Salvum fac servum tuum”.

„Deus meus, speratem in te”, odpowiedział śpiewem organista.

„Mitte ei, Domine, auxilium de sancto”.

„Et de Sion tuere eum”.

„Esto ei, Domine, turris fortitudinis”, śpiewał ksiądz.

„A facie inimici”, dialogował organista.

Tak doszli do końcowego „Dominus vobiscum” i cała gromada odpowiedziała chórem „Et cum spiritu tuo”.

Ksiądz wrócił do cichej modlitwy. Synowie Zająca klęczeli.

„Śpiewajcie: Serdeczna Matko”, nakazał ksiądz po chwili.

Organista zaintonował. zabrzmiała pieśń potężnie.

Ksiądz już się nie spieszył. Powoli robił znaki i półgłosem mówił modlitwy. Wyciągnął z torby gromnicę. Podał ją jednemu z synów. Drugiemu dał zapałkę, ten zaś potarł ja o podeszwę, zaniecił i osłaniając dłonią płomień zapalił świecę. Nie było wiatru. Knot palił się równo, prawie zresztą niewidoczny w ostrym słońcu. teraz ksiądz wyjął z sakwojaża butelkę z wodą święconą i kropidło. Odkorkował uważnie i polał lekko kropidło wodą. Odłożył butelkę i pokropił umierającego, a potem zamachnął się znacząc znaki krzyża nad tłumem, kropiąc na wszystkie cztery strony świata.

Nie doczekał stary poświęcenia kościoła, myśli ksiądz. Stara zmarła na statku i musieli ja do wody rzucić, a on pierwszy tu umiera ze wszystkich. Dwóch synów zostaje sierotami. Robotnicy, dadzą sobie radę. Trzeba będzie cmentarz wytyczyć. Kto z nich następny? Pomrą na obcej ziemi jedno po drugim. Wszyscy. Panie Boże, wszyscy, jak tutaj stoją. Mężczyźni i kobiety. Dzieci i niemowlęta. Tu ich przywiodłem – grzebać? Ja sam też już nigdy nie wrócę. Wola boska. Gruntu wokół kościoła nie brakuje, tylko z której strony cmentarz ma być? Od północy

oczywiście. Choć i tak nigdzie cienia za grosz i wszędzie słońce jakby w zenicie przez cały dzień. No, to tylko w lecie. Ale długie to lato. Gorące. jakie tam gorące? Upalne. Chryste Panie, upalne? Nie upał to, ale spiekota, od świtu do zachodu słońca. Od marca do listopada. A jak deszcz lać zacznie, to potop od razu. Śniegu nie ma na lekarstwo. Huragany straszliwe uderzają i domy nawet w powietrze porywają i ludzi zabijają. Matko Boża, gdzie ja tych ludzi wywiodłem? Z domu niewoli, odpowiedział sam sobie. Z domu nędzy, dodał. I to nie jak Mojżesz, który ich wywiódł z Egiptu, gdzie mieli pełno mięsiwa w garnkach i jarzyn w bród i owoców, na pustynię, bez wody i jadła, ale ja wywiodłem ich właśnie od garnków pustych i głodu, i dzieci z głodu na przednówku umierających, z ugorów, zagonków, nędzy, walących się chałup i rozpadających się czworaków, do tego kraju mlekiem i miodem płynącego, gdzie ziarna pszeniczne jak wiśnie, a wiśnie jak śliwy, pomidory jak pieści, a jeszcze do tego brzoskwinie, dynie, melony, kawony, winogrona; i mięsiwo, mięso nawet i co tydzień. Pszczoły dobrze tu idą. Wywiodłem ich od pracy za prawie darmo i od daremnego szukania pracy, a przywiodłem ich do roboty w tej fabryce, gdzie porządek i pieniądz grają w parze i co tydzień wypłatę każdy dostaje, jak bogacz jaki. No, jeśli praca jest. Bo gdy zwalniają na lejof, to bieda natychmiast zagląda w oczy i strach wkrada się w serca. Raz, gdy przyszło straszne tornado i zniosło dachy z połowy domów, a fabryka akurat zaczęła zwalniać, to ludzie gniew swój zwrócili przeciw księdzu i pokarać go za te nieszczęścia chcieli,

bo przecież on ich przywabił. Musiał w góry uciekać i kryć się po jarach. Ale gniew przeszedł, fabryka znów robotników przyjęła, domy odbudowano, pokój wrócił do serc. To i kościół prawie pod dach śmiga z tych dolarów, a plebania pół roku już stoi i ksiądz się tez pożywi, na co zasługuje. Żeby tak tylko trochę cienia. Upał aż zatyka. Rozejrzał się. Dookoła murów kościoła widoczne były na pagórku sadzonki małych lipek. Wyciągną się, pomyślał. Pszczoły będą miały pożytek.

Brzmiała pieśń. Ksiądz dołączył się grzmiącym głosem: „Wygnańcy Ewy do Ciebie wołamy…..” Gdy skończyli powiedział:

„Niech go położą na tych drzwiach do kościoła, co to już gotowe do osadzenia, w nawie pod ścianą stoją i niech go do domu zaniosą. Tam go obmyjecie i ubierzecie. A stolarze niech zaraz do zrobienia katafalku ręce przyłożą. Bo go jeszcze nie mamy. Solidny ma być, aby nie na ten raz jeden posłużył. Zaraz się brać do roboty. I pomalować. Czarna farba i srebrna musi się znaleźć u Ajrysza w mieście, niech który skoczy, na kreskę wziąć, a ja zapłacę. I krzyż nagrobny wystrugać. Tabliczkę wypisać równo, żył lat tyle a tyle, synowie wiedzą, zmarł Roku Pańskiego 1855. Katafalk przed wejściem do kościoła ustawić. To pierwszy pogrzeb w naszej parafii na nowej ziemi i uroczysty będzie. Jak tylko druga zmiana wyjdzie z fabryki, to go przynieść z powrotem. W nocy go pochowamy o chłodzie. Przez jutro by nie przetrzymał. Gromnice wszyscy przynieść. Grób wykopać pod

tamta lipką małą, od północy. Kiedyś go ocieni. Zazna ochłody”.

„Jakże to ta? W obcej ziemi grzebać?” Odezwał się jakiś kobiecy głos z gromady.

Ksiądz spojrzał surowo i już chciał zgromić kobietę, którą wypatrzył w tłumie. Ale przeniósł wzrok dalej na wielki łan pszenicy, na linie domów i kominy fabryki poza nią, powiódł wzrokiem po wysokich murach kościoła i po strzelistych rusztowaniach, popatrzył na niebo ogromne, wciąż bezchmurne, na daleki, otwarty horyzont, a potem znowu bliżej na wydeptany i wyjeżdżony pył wokół budowy. Wzrok mu złagodniał.

„Teraz to już nasza ziemia”, powiedział spokojnie, po gospodarsku. „Nasza. Tu leżeć będzie wśród swoich”.

Kazimierz Braun: Ptak na szczudłach i inne opowiadania amerykańskie, wyd. Adam Marszałek, Toruń 2003.

Jan Stanisławski, Wieś- Dziewanna, olej na desce 31,5 x 41 cm, własność prywatna.

Opowiadanie ukazało się w „Liscie oceanicznym”, dodatku kulturalnym do „Gazety” z Torotno w 2003 r.